



Marek Wróbel

Apartament
23

MAREK WRÓBEL

APARTAMENT 23

© Copyright by Marek Wróbel
Grafika i projekt okładki: Marek Wróbel
Korekta: Anna Alochno-Janus

ISBN ebook 978-83-7859-123-8
ISBN druk 978-83-7859-124-5

Wydawca: self-publishing

Książka i e-book przygotowane do publikacji
przez wydawnictwo internetowe e-bookowo

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Introdukcja

Lipcowy poranek. Wcześniej, jednak słońce już wściekle wypalało oczy. Może to ten kontrast. Wiktor miał wyjątkowo ciemny sen. Śnił, że wyjmuje z czyjejś twarzy wielkiego robala i ucina jego odwłok. Następnie przednia część zaczyna się samoistnie organizować. Wyrastają długie, wielkie, czarne odnóża. Czarne, obślizgłe, włochate ciało robalopająka zaczyna niepokojąco dryfować. Wiktor chwycił wielką, drewnianą szpilę i przebił minihydrze łeb i serce jednocześnie. Wówczas zobaczył, jak zanikają resztki koloru i ostatnia namiastka światła niknie w niepojętej otchłani czerni. To była czerni przerażająca. Nikt nigdy nie poznał takiej czeluści niebytu i niesensu.

Może zapowiadały się rzeczy dobre, może złe, w każdym razie jakieś. Może Wiktor miał ocalić czyjeś istnienie, może miał ocalić świat. Może miał być bohaterem. Tymczasem szedł poranną, wydeptaną trasą po dwieście żołądkowej gorzkiej. Nie żeby trasa wydeptana była od chodzenia po żołądkową. Niekiedy chodził po bulki, innym razem po parówki, jeszcze innym – po cukier czy kawę. Jednak od dłuższego czasu, głównym produktem, który był

celem porannych przemarszów, była żołądkowa. Szedł Wiktor i zobaczył billboard reklamujący nowe dzieło jakiegoś Coelho. Rewolwer upleciony z kliszy i napis „Zwycięzca jest sam”.

Sam! Wiktor się obruszył i pomyślał – w imię czego sam, do cholery! Zwycięzcy, ci bohaterowie, samotne wilki, w imię czego?... ja nie mam krwi bohatera, ja... Ratujcie, Aniołowie Pańscy! – tak właśnie pomyślał.

Cierpiał na umiarkowaną samotność. Był daleki od rozpaczy, ale jednak cierpiał. Zaprażył ugasić ogień tęsknoty do bliżej nieokreślonej niesamotności butelką brudnego, czerwonego wina. Tak, brudne wino pasuje tu najlepiej. Brudne estetycznie, poszarpane, świeckie, nawet dobrze, jakby mętne. Białe, mistyczne, proste, płynące zgodnie ze wskazówkami zegara, z lewa na prawo, byłoby nie na miejscu. Teraz, nie na miejscu, innym razem – może. Wszedł do mieszkania, spojrzal przez okno na kawałek Sukiennic, odkorkował butelkę i usłyszał wycie komórki. Ostatnio komórka i on darzyli się sympatią umiarkowaną. Właściwie relacje były chłodne. Ścisłej mówiąc – nie przepadali za sobą. Zapominał jej, celowo nie łądował, ona zaś wyświetlała mu złe wiadomości. Spokojnie przetaił kawałkiem rękawa niewielką szklaneczkę, nalal czerwone, świeckie, poszarpane wino i uspokoił się. Po chwili postanowił odczytać wiadomość tekstową ze swojej złośliwej komórki. Coraz rzadziej czytał z niej cokolwiek. Rozstał się z pewną niewiastą i ta niewiasta wymyślała cuda na kiju. Była dyslektyczką, ale dziwnie poradną i wyjątkowo złośliwą. Igielkę miała naostrzoną, może nawet podtrutą jakimś paskudztwem. Tym razem chodziło o coś innego. Wiadomość napisana dużymi

literami brzmiała: „WIKTOR RATUJ! JESTEM W TANGERZE, ZARAZ ZABIORĄ MI TEL. ZRÓB COŚ”.

SMS był wysłany z numeru Moniki Serafin. Kilka dni temu postanowiła polecieć do Maroka. Podróż marzeń. Od kilku miesięcy tu i ówdzie napominała coś o podróży marzeń. Mówiła coś o Casablance, Marrakeszu i Tangerze.

Wiktor natychmiast próbował oddzwonić, ale telefon już nie odpowiadał. Monika była jego młodziutką kuzynką.

Ufała mu. Bardziej niż wszystkim. Jego słowo miało dla niej wyjątkowe znaczenie. Miało moc. Gdy Wiktor coś powiedział, tak być musiało. Nawet gdy świat stawał na głowie, gdy już wszystko było stracone. Wiktor słowem odwracał bieg rzeki. Zawsze widział w siedmiu perspektywach. Patrzył głęboko. Patrzył i widział to, co ukryte. Wiktor był tuż po Bogu. Przy nim czuła spokój. Była w objęciach światła. Teraz jednak walczyła, była na krawędzi.

Wiktor zbierał myśli. Wspomnienia dekoncentrowały. Szukał dystansu. Chaotycznie nalal świeckie, agresywnie rozbujane niezidentyfikowanymi aromatami wino, pociągnął ze szklaneczki i próbował myśleć. Powoli uprzytomnił sobie, że pewna historia może mieć związek z tajemniczą, jak na razie, wiadomością Moniki S. Kilka miesięcy temu spotkał się z Arnoldem Kretem, zwanym Arnoldzikiem. Och, jak wówczas plótl ten Arnoldzik! Wyplatał androny z naiwnością dziecka i błyskiem szaleństwa w oczach. O wszystkim. O kosmitach, o zbiorowej mocy, o świadomości białozielonych cząstek, o porcjach pól międzygwiazdnych, o łączeniu jaźni z astralną sferą niezindywidualizowanych bytów na Uranie. Tego feralnego dnia, a było to w marcu, Wiktor

zabrał Monikę do jakiejś knajpki na ulicy św. Marka. Spotkali Arnolda Kreta. Przysiadł się i plótl. Monika wspomniała wówczas, że marzy o podróży do Maroka. W tamtej chwili coś przykuło uwagę Wiktora. Arnoldzik jakby wpadł w zawirowanie. Dziwny, niejasny gest, jakiś nieprzytomny ruch barkiem, chwila złego zawieszenia, trudno określić. Coś było nie tak. Arnoldzik podjął temat. Po chwili gorąco reklamował biuro podróży „Jan Heweliusz” To był trop. Biuro, zdaje się, było na Szewskiej.

Czas płynął wściekle. Kilka chwil zdawało się roztopić w przestrzeni, ot tak. Sekundy, minuty były jak eteryczna smuga, łącząca nieistnienie z nieistnieniem. Wiktor dopił ostatni lyk wina, odpalił papierosa i wyszedł.

Gorące popołudnie. Wilgotne powietrze wymieszane z pyłami kłębiło się nad rynkiem. Szewska dudniła martwiczym życiem. Tłumy turystów toczyły się bez końca. Turystów martwiczych, bez nadziei i bez perspektyw, nudnych i jałowych. Bez większego znaczenia. Wiktor szedł i myślał, szedł i szukał wspomnianego biura. Znalazł. Zdaje się, tu było. Obecnie pozostał strzęp szyldu z napisem „AN HEWELP”. Na drzwiach, z drugiej strony szyby, wywieszona była informacja niedbale nabazgrana czarnym markerem – biuro nieczynne. Próbował kilka razy dzwonić do Moniki S. Telefon nie odpowiadał. Co robić?... Poszedł dalej, wstąpił do kulturalnego na małą wódkę. Pub kulturalny – koniec Szewskiej, tuż przy Plantach. Po czterech wódkach wyszedł z powrotem na Szewską. Pierwsza wódka była prawie niezauważona. Druga dziwnie go rozczuliła. Trzecia poddała w wątpliwość sens wypitych poprzednich dwóch. Dzięki czwartej Wiktor namierzył w sobie długo skrywany smutek. Skąd tam był, dlaczego tak wyraźnie, niemal fizycznie ?

Czas wariował. Ledwo Wiktor otworzył oczy, już był zamroczony popołudniową wódką. Chwilę po tym, jak nastal poranek, niebo stało się ołowiowe i zapalały się pierwsze gwiazdy. Wieczór był nierzeczywisty. Tłumy, jak były, tak były, tyle, że pijane. Stłamszony dźwięk z rozmaitych knajp snuł się po chodniku. Ciemne światło oświetlało kawałki twarzy. Może ze smutku, może z sentymentu jakiegoś, Wiktor zapragnął grać na pianinie. Czuł, że język bez słów, przegadania, bez ciężkich myśli, jest tym, czego teraz najbardziej potrzebuje. Poszedł do pewnej knajpki na ulicy Św. Krzyża. Stało tam nieco rozstrojone stare pianino. Zamówił piwo, postawił je na górnej kłapie. Zaczął grać. Mollowo. A–moll z przesadnie akcentowanym dźwiękiem gis. Właśnie ten dźwięk podkreślał niewymowny stan jego wnętrza. Był skupiony.

Każda nuta była najważniejsza.

Każda nutka malowała i objawiała jakąś tajemnicę.

Powietrze było niespokojne, drgało i kręciło się wokół instrumentu.

Wiktor podniósł oczy i dostrzegł blondynkę siedzącą dwa stoliki dalej. Była mocno poruszona. Była zadziwiona i poruszona do głębi. Jej wzrok wbijał się wprost w niego. Jej twarz wyrażała coś, czego nie można określić. Rozumiała. Rozumiała naprawdę. Wiktor wypił piwo jednym haustem. Wstał, a ona wciąż patrzyła. Uśmiechnął się do niej. Spuściła wzrok. Po chwili spojrziała znowu. Patrzyła wyraźnie, konkretnie i oznajmiająco. Patrzyła prosząc, by podszedł. Podszedł, a ona powiedziała – Szewska, apartament dwadzieścia trzy.

Ten dzień był jak flesz. Wszystko trwało chwilę, może krócej.

Ile człowieka może być w człowieku? – tak brzmiała pierwsza myśl, która przysła Wiktorowi do głowy po przebudzeniu.

– Na ile istniałem rzeczywiście dla niej. Co to było, do cholery jasnej? Czym byłem, czy widziała mnie, czy spotkała się ze mną, czy może byłem substytutem pragnień? – tak pomyślał.

Wiktor, razem z nieudana próbą zespolenia, może nawet z połączenia męsko–damskiego, chlusnął pokaźną porcją jakiejś trucizny. Męczyła go, wysuszała organizm, niepokoiła, dręczyła, cięła, niekiedy paraliżowała, a nade wszystko – neurotyzowała. Jednym słowem trula, jak na truciznę przystało. Sprawiała, że gdy patrzył w tym momencie za okno, widział smutny i wrogi świat.

Mimowolnie układały mu się w głowie frazy jakiegoś neofuturystycznego lamentu.

Czarna taśma
Wyjąca turbina
Trujesz mnie
Podlewasz mnie chemicznym syfem
Nie wyczuwam własnego pulsu
Lepki smar
Zamyka mi nozdrza
Twój strach
Podróż na rauszu formy
Pozbawiona uroku czysta masturbacja
Każdy kształt został nakreślony
Nie ma żadnej tajemnicy
Gra pod kontrolą

Wściekła maszyna
Wypalone oczy
Świat pod kontrolą

Było jeszcze ciemno. Ciemna lampka z żarówką piętnastowatową lśniła bladym pomrukiem światła. Wiktor zajrzał do lodówki. Znalazł suchą bulkę i kawałek pomarszczonego pomidora. Poczul pewną, osobliwą dosyć, ulgę. To coś już przeminęło. Pomidor przeminął, bulka przeminęła. Wiktor nie mógł się pozbyć wrażenia, że nic się nie ma prawa wydarzyć. Czterdzieści kilka nocy boleśnie się zapętlilo. Wpadł w wir gorączkowej sjeisty. Sjeisty bliskiej majakom i halucynogennego skwaru. Daria odeszła, nastaly upały, pot śmierdział octem, żar, udar i pętla czasu. Czterdzieści kilka nocy patrzył wstecz i nie mógł uwierzyć, i nie mógł zrozumieć. Na ile istniałem rzeczywiście, czy byłem naprawdę? – nieme pytanie wyzierało boleśnie. Skalany grzechem, poczuciem bezsilności, czymś w rodzaju fundamentalnego upokorzenia, zwałił się na wygnieciony fotel. Przymknął powieki i śnił.

Wielka kopuła, wykładana białymi kaflami, zupełnie jak w rzeźni, okalała niebieską powalę.

Ściany były pokryte jakimiś złymi obrazami, grzesznymi.

Dużo czerni, dużo mrocznych barw.

Kobieta w wysokich skórzanych butach,

w lateksowym gorsecie,

trzymała w dłoni rzemienny bicz.

Wyrazisty makijaż ociekał tuszem i krwistą szminką.

Kobieta uderzyła go biczem i z rozciętej skóry pociekła krew.

Przyłożyła palec do rany, wysmarowała krwią i zlizywała.

Duszne powietrze obudziło Wiktora. Nastalo południe. Zapach octu unosił się nad jego skórą. Był to zapach toksyn oraz substancji, będącej wynikiem rozkładu alkoholu. Aldehyd octowy. Złowroga trucizna myśli, mózgu i cielesności człowieka. Czterdzieści kilka dni Wiktor leczył kaca. Koniec, *the end, finito* – powiedział do siebie. – Nie dziś, dziś jest inaczej, nowy nastal dzień i nastanie wyczekiwana bryza, która twarz mą łagodnie pieścić będzie, nastanie wolność i wieczne wesele – tak właśnie powiedział. Wszedł do łazienki, odkręcił kurek prysznica i spostrzegł parę pustych butelek po żelu, szamponie i innych dobrodziejstwach. Dobrze się składa – pomyślał. – Zrobię zakupy. Zakupy symboliczne, które będą początkiem nowej epoki. Symboliczna woda będzie mnie obmywać, symboliczne witaminy będą mnie uzdrawiać a symboliczny żel pod prysznic będzie wonny jak jaśmin. Jak postanowił, tak było. Ubrał się na szybkiego, bo jak inaczej być mogło, skoro teraz działy się rzeczy arcyważne. Wyszedł, roztopiając się w błogości przyszlých obietnic, które sam sobie składał, i szedł.

Ulica Grodzka kąpała się w słońcu. Zapach kebabów zatykał nozdrza, rzeka turystów, uliczni mimowie, stukot obcasów eleganckich panien o bruk, sto dialektów angielskiego, hiszpańskiego i jakiegoś jeszcze, w oddali tramwaje, bryczki, samochody. To była muzyka ulicy Grodzkiej. Muzyka normalności, ruchu, przemian, pulsacji i zwyczajności. Po czterdziestu kilku nierealnych nocach i dniach Wiktor potrzebował normalności. Wszedł do marketu, przechadzał się między alejkami, wybierał produkty, normalnie, jak przystało na normalnego konsumenta. Symboliczny żel, trochę jedzenia, papierosy i na wszelki wypadek dwieście wiśniówki. Zwyczajnie i normalnie wrócił do mieszkania na

Grodzkiej, klasyczny prysznic wziął, śniadanko zwyczajne też było i zwyczajna gazeta się poczytała. Potem, jak przystało na normalność, należało trochę pooglądać TV. Kolejne kanały obwieszczały normalność cudowną. Na pierwszym kanale gwiazdy tańczyły na lodzie, na drugim gwiazdy śpiewały, na trzecim gwiazdy tańczyły nie na lodzie, na czwartym gwiazdy jadły bułkę z masłem, a na piątym jakiś osilek, prawomyślny i poprawny politycznie, okładał po mordach złych oprychów. Wiktor zadrżał. Osaczony normalnością odkorkował dwieście. Pił. Myślał o powrocie do pracy. Od dwóch miesięcy był na bezpłatnym urlopie. Za porozumieniem stron zażywał wakacji i odpoczywał. Wcześniej pracował w kulturze i tak zwanej oświacie, ale jakoś się zmęczył. Jakoś zabrakło tchu. Czas się nakładał, dzień był podobny do dnia, było normalniej, ale duch się ulatniał. Mimo wszystko powrót do roboty był kwestią czasu, ale jeszcze nie teraz.

Wyszedł z mieszkania, kierował się w stronę rynku, jeszcze dokładnie nie wiedział gdzie. Gwarny tłum oblepiał go dookoła. Poczul się sam. Poczul się jak samotniczy bohater-zwycięzca, jak bohater jakiejś krakowskiej powieści.

Mruknął do siebie pod nosem. – Skoro czuję się jak bohater krakowskiej powieści, wypadaloby zajrzeć do Zwisa. Gdybym czuł się jak bohater warszawskiej powieści, trójmiejskiej lub lubelskiej, nigdzie bym pójść nie musiał, ale cóż... – tak właśnie mruknął.

Mniej więcej namierzył cel wędrówki i szedł spokojnie. W Zwisie pijał przez ostatni rok. Oczywiście od czasu do czasu pijał. Potem wyjechał z Krakowa na okres pewien, zdaje się kilka tygodni, i wrócił. Zastał tych samych ludzi w tej samej konfiguracji. Dosiadł się, jak zwykle się dosiadał, siedział, siedział, rozma-

wiał i wypadł poza linię czasu, jak to zwykle tam bywa. Decyzja zapadła. Pójdę do Zwisa – pomyślał i poszedł. USA bankrutowało, wirtualny świat wypruwał swe bebechy, pieniądź bez pokrycia wyznaczał nieobliczalną politykę ekonomii światowej, światowy rząd centralizował władzę, a Zwis spokojnie sobie był, i bywalcy Zwisa spokojnie sobie siedzieli. Nawet jedno krzesło było wolne, jakby czekało, jakby czekało od wczoraj, od tygodnia, miesiąca. Przy stoliku łączącym ogródek z barem siedziało to samo towarzystwo i piło tę samą ciecz. Ta sama ciecz wprawiała to samo towarzystwo w stan daleko posuniętego relaksu. Siedzieli, siedzieli... Wiktor poszedł do baru, barman nalał mały porter, zagadał o czymś aktualnym, pogrzebał w szufladzie pod barem i wyjął starą płytę CD Diango Reinhardta. Ten niesamowity Cygan, grał wściekle. Barman do małego portera dorzucił promocyjnie płytę. Czasem tak się zdarzało.

Wiktor podziękował elegancko, płytę z uciechą przyjął, mały porter z uciechą nabył i wrócił do towarzystwa. Ktoś poszedł, ktoś się dosiadł i narzekał, między wierszami, że ma powczorajsze bóleści. Nic nie zamawiał, ale bóleści miał. Wiktor spojrział nie-nachalnie i zaproponował trochę etanolu na zalecenie uciążliwego zespołu a.

– O tak, chętnie – odpowiedział skacowany cierpiętnik.

Kupił Wiktor piwo, i kupił jeszcze sobie mały porter. Potem jeszcze jeden, potem jeszcze dwa, potem z A. Kozłowskim rozmawiali o tym, że należy zrobić jakiś teatr, bo nudno się robi. Potem poszli do Psa. Tak się rzecz działa, to prawda, jakoś samo wyszło. Spokojnym krokiem, bez pośpiechu, z umiarem, z pohamowaniem na piechotę szli. Jakies trzysta metrów. Doszli. W Pięknym Psie, obecnie znajdującym się na ulicy Sławkowskiej, a może już go w ogóle niema, przy barze siedziały dwie kobiety.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY	4
Introdukcja	
ROZDZIAŁ DRUGI	27
Death Power	
ROZDZIAŁ TRZECI	57
Lapsus	
ROZDZIAŁ CZWARTY	73
Resurgo	
ROZDZIAŁ PIĄTY	96
Modus Vivendi	
ROZDZIAŁ SZÓSTY	110
Heart of Darkness	
ROZDZIAŁ VII	127
Zakończenie	



Marek Wróbel, ur. 1976 w Warszawie. Wychowany w Białej Podlaskiej. Mieszkał kilka lat w Krakowie. Obecnie zamieszkuje w Warszawie. Doktorant filozofii w Krakowie. Studiował na AWF i Akademii Muzycznej. Lider kilku składów muzycznych. Lubi stare filmy, biografie świętych, dobre buty.